

Aleksander Pawelec

Gdy w Gdyni była drewniana Warszawa

Zeszyty Gdyńskie nr 5, 55-65

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Aleksander Pawelec

Gdy w Gdyni była drewniana Warszawa

Nie tak dawno, na portalu „Trójmiasto.pl”, można było przeczytać dwa artykuły autorstwa Marka Gotarda poświęcone Gdyni. W jednym przywołane zostało moje nazwisko, zaś w obu przewija się dziwny stosunek autora do historycznych realiów i doznań pokoleń z pierwszej połowy ub. wieku. Z tego właśnie powodu ośmielałam się zabrać głos, polemizując, z chyba młodym autorem tekstów. Jednakże nie mogąc dowiedzieć się czegoś więcej o Nim, nie mam prawa snuć na Jego temat innych, niż tylko wiek przypuszczeń. Natomiast, aby jak najlepiej odczytać moje spostrzeżenia z tamtych czasów, na wstępie trochę o sobie i mojej rodzinie.

Urodziłem się, gdy już ponad rok trwała I wojna światowa. W lipcu 1918 roku, mój ojciec, Stanisław Pawelec, został przez pruskich zaborców aresztowany i przewieziony do ówczesnego obozu koncentracyjnego w Czersku na Pomorzu, który był jednocześnie obozem jeńców rosyjskich. W obozie śmiertelność, z uwagi na głód, zakaźne choroby i nieludzkie warunki życia była tak ogromna, że w końcu listopada 1918 roku, z całej grupy kilkunastu aresztowanych, do domu powrócił tylko mój ojciec. Jego stan był bardzo ciężki, a waga tego trzydziestoletniego mężczyzny nie przekraczała 38 kg. Lekarz, który zaopiekował się nim, oświadczył, że jego przeżycie i powrót z tego pruskiego piekła graniczyło wprost z cudem. Minęły miesiące nim mój ojciec odzyskał względne zdrowie.

Jak wiemy, to po zakończeniu I wojny światowej jeszcze przez kilka lat trwały walki o ostateczne ustalenie granic Polski, a w 1920 roku dotknięci zostaliśmy najazdem bolszewików. Do tego należy także dodać niebywałą inflację ówczesnej polskiej marki, która doprowadziła naród do gospodarczej ruiny. Gdy w ciągu następnych pięciu lat żywotność narodu polskiego wyprowadziła kraj z tej gospodarczej zapaści na względny poziom życia, to nastąpił rok 1929 i wielki światowy kryzys gospodarczy, który w Polsce trwał do 1935 roku. I właśnie w tym okresie, bo w marcu 1931 roku, po spieniężeniu reszty dobytku cała moja rodzina przeniosła się do Gdyni, zwiedziona wiadomościami o prężnie rozwijającej się gospodarce morskiej, w tym budowie portu i miasta.

W 1932 roku, po zakończeniu 3-letniej zasadniczej służby wojskowej w Korpusie

Ochrony Pogranicza na granicy wschodniej powrócił także, już do Gdyni, mój starszy brat Mateusz, który przystąpił do zorganizowanego Koła Związku Rezerwistów R.P. w Orłowie.

Wspólnymi siłami zbudowaliśmy w Małym Kacku przy ul. Wieluńskiej 38, parterowy domek, w którym zamieszkała cała moja rodzina, składająca się z rodziców i sześciorga rodzeństwa.

Na początku grudnia 1934 roku zmarł w wieku 46 lat mój ojciec. Był to dla rodziny bolesny cios. Odeszła bowiem główna opoka rodziny, a najmłodsza z sióstr miała zaledwie 8 lat. Pogrzeb ojca na cmentarzu witomińskim pochłonął resztki rodzinnych zasobów. Nastąpił więc dla nas niezwykle trudny okres. Po prostu znikąd żadnej pomocy. I właśnie wtenczas jedynym ratunkiem przed mrozem i widmem głodu, od grudnia 1934 do maja 1935 roku był węgiel z pociągów towarowych, jadących nową linią kolejową, tzw. Magistralą Śląską, która biegła z Bydgoszczy poprzez Kościerzynę, Wielki Kack do portu w Gdyni, z pominięciem Gdańska.

Dopiero w kwietniu 1935 roku, Komitet Pomocy Zimowej w Gdyni, wykupił w gdyńskich piekarniach pewną ilość chleba dla bezrobotnych i właśnie wtenczas ja i mój brat otrzymaliśmy specjalny przydział, po 15 kg na cały miesiąc kwiecień. Kartki na chleb można było realizować w piekarni na placu Górnośląskim, róg Wielkopolskiej, otrzymując po 1 kg chleba, co drugi dzień. To było wszystko. Kobiety i dzieci takiego przydziału nie otrzymały.

I tak nadszedł maj 1935 roku – najpiękniejszy miesiąc w przyrodzie. Przez trzy tygodnie nie widzieliśmy w naszym domu kawałka chleba. Jedynym ratunkiem był zapas ziemniaków i mleko od kozy, którą hodowaliśmy. Wielogodzinne przebywanie pod budynkiem Urzędu Pośrednictwa Pracy przy ul. Morskiej lub Portowego Pośrednictwa Pracy przy ul. Polskiej, nie dawały żadnego rezultatu. Przełomowym dniem w moim życiu było święto Bożego Ciała - osobiste przeżycia opisałem w moich wspomnieniach z lat młodości i II wojny światowej - bo po tym dniu, już na początku czerwca, dostałem skierowanie z Pośrednictwa Pracy do przedsiębiorstwa, które podjęło poważną wojskową inwestycję. Robota polegała na przeciągnięciu kabla telefonicznego z Dowództwa Marynarki Wojennej na Oksywiu przez Kępę Oksywską do jaru w Babich Dołach, następnie przez Zatokę, do Juraty i dalej do bazy Marynarki Wojennej w Helu. Praca trwała 3 miesiące. We wrześniu 1935 roku otrzymałem pracę na budowie trzech bloków mieszkalnych w narożu ul. Świętojańskiej i Partyzantów.

Po około trzech tygodniach pracy na tej budowie, przeczytałem w Dzienniku Gdyńskim anons o naborze na stanowiska bileterów do kina „Morskie Oko” w Gdyni.

Możliwość pracy w kinie była tak urzekająca, że udałem się natychmiast w wyznaczonym dniu, pod wskazany adres, do mieszkania właścicieli kina przy ul. Starowiejskiej 8, lecz po przybyciu na miejsce mina mi zrzęda, ponieważ na to ogłoszenie zgłosił się po prostu tłum kilkudziesięciu młodych chłopców.

Właściciel kina, kapitan Marynarki Wojennej w stanie spoczynku, Stefan Szmidt i jego żona Izabela, przeprowadzali z każdym przybyłym kandydatem wnikliwe rozmowy, przyglądając się uważnie prezencji i umiejętności poruszania się każdego z kandydatów, a także wymowie w przeprowadzanym dialogu. Niejednokrotnie te same pytania jeszcze raz powtarzano.

Po kilkugodzinnym egzaminowaniu, wszystkich przybyłych młodych mężczyzn (kobiet w owym czasie w kinach nie zatrudniano), wezwano do pokoju przesłuchań dwóch ze wszystkich kandydatów, bo jak się okazało tylko tylu było potrzeba do uzupełnienia personelu. I właśnie jednym z tych wybranych byłem ja.

Na początek, jak zapowiedziano, w okresie próbnym otrzymałem najniższe z najniższych uposażenie, bo 15 zł tygodniowo – czyli trochę ponad 60 zł miesięcznie plus kolacja w trakcie trwania 2 seansu. Obowiązujący czas pracy w kinie:

- w dni powszednie od godz. 16.30 do 23.30 (3 seanse)

- w niedziele i święta od godziny 14.30 do 23.30 (4 seanse)

dodatkowe poranki filmowe w niedziele w godz. 11.00 – 13.00.

Po okresie próbnym, na początku 1936 roku otrzymałem podwyżkę do 25 zł tygodniowo, ponad 100 zł miesięcznie. Musiałem więc spełniać oczekiwania moich pracodawców, gdyż w tak szybkim tempie nikt w tym kinie podwyżek nie otrzymywał. Do tego dochodził też inny, także istotny fakt, bowiem od roku 1936 podlegałem obowiązkowi zasadniczej służby wojskowej i po otrzymaniu w lutym 1936 roku powołania do odbycia służby w Marynarce Wojennej, kapitan Szmidt spowodował jego odroczenie do następnego roku, co powtarzało się każdego roku aż do 1938 roku. Nie miał z tym chyba żadnych trudności, bo w tym czasie w Gdyni miał wiele do powiedzenia i osobistego znaczenia. Wystarczy tylko dodać, że w czasie gdy kapitan Szmidt służył do roku 1918 w Niemieckiej Marynarce Wojennej (Kriegsmarine) w stopniu kapitana, to młody wówczas podporucznik, późniejszy dowódca Polskiej Marynarki Wojennej kontradmirał Józef Unrug, był w tym okresie podkomendnym mojego chlebodawcy.

Od momentu zatrudnienia mnie w kinie „Morskie Oko” sytuacja bytowa całej mojej rodziny zmieniła się diametralnie. Mama została zatrudniona wiosną 1936 roku w ogrodach Zakładu Zieleni Miejskiej, a mój starszy brat Mateusz, otrzymał stałą pracę w jednej z firm portowych.

W końcu 1935 roku ruszyła budowa świetlicy Związku Rezerwistów R.P. w Małym Kacku przy ul. Łowickiej 41 (obecnie mieści się w tym budynku „Amerykańsko – Polskie Stowarzyszenie Oświatowe). Przy tej budowie pracowali społecznie członkowie Związku Rezerwistów Koło w Orłowie, którego sekretarzem był mój brat Mateusz. Ja także z uwagi na fakt, że praca w kinie zaczynała się o 16.30 przyłączałem się po kilka godzin dziennie do tej społecznej akcji, pracując przy produkcji tzw. białej cegły, z której ten budynek był budowany. Należy tutaj dodać jeszcze, że duży

wkład do tej budowy wnieśli członkowie wspierający Związek Rezerwistów z Orłowa i Małego Kacka oraz Komisariat Rządu w Gdyni.

Budowę zakończono w końcu 1936 r. W ramach działalności Związku Rezerwistów Koło Orłowo i Mały Kack zostało zorganizowane amatorskie koło teatralne, do którego ja także należałem. Organizowano dość często w nowo wybudowanej świetlicy zabawy taneczne, które bardzo integrowały młodzież kaszubską z napływającą ludnością i młodzieżą z głębi kraju.

Należy tu jeszcze dodać, że Związek Rezerwistów współpracował na polu porządku publicznego i bezpieczeństwa z komisariatem policji w Orłowie.

Przypominam o tym w kontekście stwierdzenia M. Gotarda, że np. „Mały Kack wzięli we władanie złodzieje kradnący węgiel”. Dzisiaj po upływie ponad 75 lat kojarzy się to z bardzo niebezpieczną sytuacją. A przecież ci chłopcy, którzy wprost w rozpaczliwym bytowym czasie zmuszeni zostali do takich sposobów ratowania od głodu i mrozu swoje rodziny, moim zdaniem nie zasłużyli na tak surową ocenę.

Zwłaszcza, że tak naprawdę to we władaniu Małym Kackiem swój udział mieli: w kierunku duszpasterskim ks. Stefan Radtke, wielki moralista, a od 1935 roku po ustanowieniu w Małym Kacku parafii rzymskokatolickiej jej proboszcz oraz wspomniany już Związek Rezerwistów Koło w Małym Kacku z członkami, spośród których kilku brało udział w wojnie z bolszewikami.

Począwszy od października 1935 do lutego 1939 r., to jest do momentu powołania mnie do odbycia czynnej służby wojskowej, wracałem codziennie po północy z pracy w kinach do domu pieszo (około 3 km) i nigdy nie miałem poczucia niebezpieczeństwa ze strony osób trzecich. W tych czasach policja w Orłowie i Małym Kacku nie notowała żadnych objawów rabunku, gwałtu, kradzieży mienia społecznego czy też ulicznych rozbojów. Nie było też żadnych rozpraw sądowych wskazujących na zagrożenie bezpieczeństwa publicznego.

Dlatego po przeczytaniu artykułu M. Gotarda poczułem się zmuszony, jako jeden z nielicznych żyjących jeszcze „przedwojennych” mieszkańców Małego Kacka, do przedstawienia w wielkim skrócie historycznego i społecznego przekroju tej miejscowości, która do roku 1934 wchodziła w skład gminy Orłowo Morskie, a od roku 1935 została włączona w obszar miasta Gdyni. Od tego momentu nastąpiło dopiero właściwe nazewnictwo ulic dla zabudowań w kaczej dolinie. W owym czasie u zbiegu ulic Halickiej, Sandomierskiej i Przemyskiej istniał już mały kościół, którego proboszczem był. ks. Stefan Radtke, brat Jana Radtke, sołtysa Gdyni, przed nadaniem Gdyni praw miejskich.

Ksiądz Stefan Radtke był wielkim moralistą a jednocześnie jako duszpasterz wielkim pasjonatem w kierunku chrześcijańskiego integrowania autochtonicznej ludności kaszubskiej z ludnością napływającą z głębi kraju i polskich imigrantów z zagranicy.

Drugim takim czynnikiem w utrzymywaniu ładu i porządku publicznego był właśnie Związek Rezerwistów R.P., najpierw jako Koło Orłowo Morskie, a od roku 1935 także Koło Mały Kack. Działalność tego związku nakierowana była na pełną integrację w duchu patriotycznym młodzieży autochtonicznej z ludnością napływową z głębi kraju. Temu służył budynek przy ul. Łowickiej 41, który stał się ważnym ośrodkiem społeczno-kulturalnym w życiu całego miasta.

Na stronie tytułowej artykułu, autor zamieścił zdjęcie, pod którym podaje: „Na fotografiach widzimy relikty dawnej Drewnianej Warszawy, którym udało się przy ul. Radomskiej dotrzeć do naszych czasów”.

Moim zdaniem jest to fragment budynków w narożu ul. Piotrkowskiej z ul. Radomską, a widoczny na pierwszym planie parterowy domek był typowym, jakie budowano przy sąsiednich ulicach Małego Kacka jak Olkuska, Częstochowska, Lipnowska, Kaliska, Łowicka czy też Wieluńska, na której stał domek i mojej rodziny. Jeśli więc taka zabudowa została porównana do bud mieszkalnych i brazylijskich faweli (czytaj slumsy), to już naprawdę nic nie rozumiem z wywodów młodego autora, gdyż nawet dzisiaj, gdyby mi przyszło w takim domu mieszkać, to nie byłoby to dla mnie żadną ujmą. Wreszcie ze zdziwieniem przyjąłem akapit poświęcony Edwardowi Obertyńskiemu, „...który zaczynał swoją gdyńską karierę od noclegów w ... dużej rurze kanalizacyjnej”.

I tutaj tę wspomniałą gdyńską postać M.Gotard pozostawił w sferze domysłów tzn. czy łączyć ją z Małym Kackiem (Drewnianą Warszawą) w okresie międzywojennym czy też z okresem powojennym?

Ponieważ dotyczy to Osoby niezwykle ważnej dla powojennej Gdyni, a mnie znanej już przed wybuchem wojny, to pragnę z tego tytułu dodać pewne dane do Jego biografii.

Edward Obertyński urodzony w maju 1913 r. we Lwowie, gdzie uczęszczał do szkół od powszechnej do wyższych studiów, po których ukończeniu dostaje się do szkoły podchorążych artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim, którą kończy z wyróżnieniem, otrzymując nominację na pierwszy stopień oficera podporucznika artylerii. Było to dla młodego Obertyńskiego niezwykle ważną nobilitacją. W roku 1937 w wieku 24 lat otrzymuje skierowanie do 1 Morskiego Baonu Strzelców w Wejherowie (od marca 1939 r. 1 Morski Pułk Strzelców) na stanowisko zastępcy dowódcy Oddziału Artylerii, na którego uzbrojeniu były 2 działa polowe 75 mm i 3 moździerz typy „Stokes” 100 mm.

Jako młody oficer zdobył sobie u dowódcy pułku, Kazimierza Pruszkowskiego duże uznanie, bo wystarczy tylko dodać, że z jego inicjatywy w marcu 1939 r. 1 Kompania Strzelecka 1 Baonu, w której ja w owym czasie pełniłem zasadniczą służbę wojskową, została wysłana specjalnym wojskowym transportem na Wołyń, do Włodzimierza Wołyńskiego, na trwające trzy miesiące wspólne ćwiczenia wojskowe, z tamtejszym 23 pułkiem piechoty im. Lisa Kuli.

Po powrocie w połowie czerwca 1939 r. do Wejherowa, zostałem przeniesiony z dniem 1 lipca 1939 r. w skład pułkowego oddziału zwiadu pod dowództwem por. Dworzańskiego.

W kampanii wrześniowej 1939 roku, w czasie pierwszych dni walk w obronie Wybrzeża, obserwowałem w dniu 6 września w godzinach popołudniowych w Gościcinie, położonym w połowie drogi pomiędzy Wejherowem a Luzinem, przygotowania do kontrataku przeciwko niemieckim oddziałom, które przekroczyły w godzinach rannych ówczesną polsko – niemiecką granicę, zajmując Luzino i okoliczne wioski. I właśnie wtenczas miałem możliwość przyjrzeć się bojowemu działaniu pułkowej artylerii. Krótco po zachodzie słońca nastąpił kilkunastominutowy ostrzał artyleryjski baterii dział 75 mm na pozycje nieprzyjaciela. Tą akcją dowodził właśnie ppor. Edward Obertyński. Przyznam się, że ta cała akcja zrobiła na mnie olbrzymie wrażenie. Po wystrzeleniu około stu pocisków ruszyły do ataku na Luzino kompanie strzeleckie wypierając wroga poza ówczesną granicę.

Następnym razem widziałem Obertyńskiego w trakcie walk w dniach 11-13 września w bitwie z Niemcami o Dębogórze na Kępie Oksywskiej. Poległo w niej dużo żołnierzy 1 Morskiego Pułku Strzelców, a wśród nich dowódca 1 Kompanii kapitan Wacław Skubik. Było bardzo dużo rannych, a wśród nich także ppor. Edward Obertyński, który został przetransportowany do szpitala wojskowego w Babich Dołach, gdzie w dniu 19 września 1939 r., po zakończeniu działań wojennych, został wzięty do niewoli niemieckiej i osadzony w obozie oficerskim w Woldenbergu (obecnie Dobiegniew). Po zajęciu tej miejscowości w lutym 1945 r. przez oddziały Armii Czerwonej i uwolnieniu polskich oficerów z tamtejszego oflagu, Obertyński przedostaje się w mundurze oficera Wojska Polskiego do Gdyni, gdzie dociera już po zajęciu naszego miasta przez oddziały Armii Czerwonej.

Dlatego uważam, że umieszczenie nazwiska tego dumnego oficera i wielkiego polskiego patrioty w takim zdawkowym ujęciu, jest niezrozumiałe i wielce krzywdzące dla tak wspaniałej postaci, jaką był Edward Obertyński i to w okresie międzywojennym, wojennym jak i powojennym Gdyni.

Bardzo dziwnie i potępiająco brzmi treść akapitu wyjętego rzekomo z kontekstu „Wiadomości Literackich” Melchiora Wańkowicza z 1937 roku, o wprost drastycznych i koczowniczo – bytowych sytuacjach w okolicach ul. Śląskiej, gdzie na jednej wąskiej błotnistej uliczce gnieździły się w podmokłych kłitkach 634 osoby różnego autoramentu.

Zaraz dalej M. Gotard sugeruje, że w takich budach mieszkalnych i gdyńskich fawelach były srodze niebezpieczne siedliska grzylicy, chorób wenerycznych i wylęgarnia przestępców.

Sięgam głęboko pamięcią do lat 1936 – 1937 i widzę przed sobą obraz tej przyszłościowej części miasta, zwanej potocznie „Budapesztem”. Bywałem tam dość często, a poruszając się ul. Leśną (obecnie ul. Wolności), Śląską, Witomińską i Tatrzańską, przypominam sobie tamten olbrzymi plac budowy domów mieszkalnych. Wymienione ulice wytyczone zostały i określone urzędowym nazewnictwem przez Komisariat Rządu, a całość pozostawała pod ścisłym nadzorem Wydziału Architektury i Budownictwa tegoż urzędu. Prawie wszystkie wzniesione wówczas budowle dotrwały do chwili obecnej i są wymownym świadectwem, że nie były to

klitki, budy mieszkalne czy też brazylijskie fawele.

W okresie letnim 1936 r. już w czasie mojej pracy w kinie „Morskie Oko” zakon ojców jezuitów ogłosił we wszystkich działających w owym czasie gdyńskich kościołach apel o pomoc finansową lub fizyczną przy budowie kościoła przy ul. Tatrzańskej. Ponieważ finansowo nie mogliśmy takiej pomocy uczynić, to zgłosiłem się razem z moim starszym bratem Mateuszem deklarując kilkudniową pomoc w pracy fizycznej. Tak się złożyło, że byliśmy jednymi z pierwszych lecz nie jedyni, którzy zgłosili się do takiej pracy.

W żywej pamięci pozostały mi obrazy z tych początkowych momentów na tej sakralnej budowie, a mianowicie, gdy po dokładnym obrysowaniu i obramowaniu, zgodnie z planem budowy wycinałem zieloną darń do wykopu pod jej fundamenty. Ta nasza praca trwała kilka dni, od wczesnych godzin rannych do około 15.00 każdego dnia. Mogłem sobie na to pozwolić, bo praca w kinie zaczynała się o godz. 16.30.

Czytając dziś relacje ośmieszające przedwojennych mieszkańców Gdyni nasuwa mi się skojarzenie z jadowitymi przemówieniami Alberta Forstera, który nawoływał do fizycznego rozprawienia się z Polakami, jego zdaniem nosicielami chorób zakaźnych, bandytów i podludzi.

A przecież ludność Gdyni, niezależnie od statusu społecznego, bytowego i miejsca zamieszkania, a mianowicie: Śródmieścia, Kamiennej Góry, Orłowa, Małego Kacka, Obłuża, Witomina, Grabówka czy Chyloni miała swoją jednakową Golgotę, po zajęciu naszego miasta przez Teutonów we wrześniu 1939 r.

Już w październiku i listopadzie wysiedlono z Gdyni – przeważnie do Generalnej Guberni – kilkadziesiąt tysięcy ludzi z przewagą kobiet, starców i dzieci. Moja mama i siostry, z których najmłodsza miała 13 lat, zostały wywiezione w dniu 18 października 1939 r. do Generalnej Guberni po prostu w nieznaną. Pozwolono im zabrać tylko podręczny bagaż. Natomiast ja i mój brat zostaliśmy wzięci do niewoli niemieckiej w dniu 19 września 1939 r. tj. po zakończeniu działań wojennych na Kępie Oksywskiej.

A w centrum Gdyni, gdzie jak pisze M. Gotard „rosły piękne, modernistyczne kamienice, na ulicach panował warszawski blichtr”, aresztowano tysiące Polaków. Zwłaszcza urzędników administracji państwowej i miejskiej różnych szczebli, nauczycieli, pracowników sądownictwa, funkcjonariuszy policji, kupców, przemysłowców, rzemieślników, a przede wszystkim tych, którzy byli znani jako działacze kultury, oświaty oraz budowniczych miasta i portu. Z tego kilkuset, co zacniejszych osób, wywieziono do obozu koncentracyjnego w Sztutthofie, a kilka tysięcy, w ciągu ostatnich dwóch miesięcy 1939 roku i w następnych 1940 roku wywieziono i zamordowano w lasach Piaśnicy koło Wejherowa. Szerszą wiedzę na ten temat zawiera np. „Encyklopedia Gdyni”, w której autorzy odtworzyli historię Gdyni od małej rybackiej wioski do współczesnego miasta .

Innym ważnym dziełem jest album „Gdynia – miasto z morza i marzeń” Jest to przebogate studium o niezwyklej patriotycznej symbiozie powstających i rozwijających się od podstaw w latach dwudziestych i trzydziestych ub. wieku Polskiej Marynarki Wojennej oraz miasta i portu Gdynia.

Bardzo pozytywnie należy przyjąć wielce patriotyczną i niezwykle skuteczną działalność Towarzystwa Miłośników Gdyni, którego wydawnictwo „Rocznik Gdyni” jest ciągle żywym dokumentem czasu przeszłego i teraźniejszego życia naszego miasta.

Nie można pominąć także wydawnictwa Wyższej Szkoły Komunikacji Społecznej w Gdyni pt. „Zeszyty Gdyni”, a szczególnie Nr 4, zawierającego tematykę związaną z wojną obronną i okupacją niemiecką Gdyni. To właśnie w tym „Zeszycie...” możemy przeczytać tekst Elżbiety Grot p.t. „Ludobójstwo w Piaśnicy jesienią 1939 roku ze szczególnym uwzględnieniem losu mieszkańców Gdyni”, który moim zdaniem zasługuje na szczególną uwagę i pokoleniową pamięć. Niestety, o tego typu wydawnictwach wiedzą tylko szczególnie zainteresowani. Przeglądając bowiem dalsze strony portalu „Trójmiasto.pl” natrafiłem na kilkanaście stron udziału młodych Internautów próbujących oceniać sens historycznych artykułów. Przeważająca część zamieszczonych tam komentarzy świadczy, że treść historycznych wypowiedzi jest dla nich w ogóle niezrozumiała i traktują tego typu teksty jako słowną wojnę pomiędzy Gdańskiem a Gdynią.

Gdy w gdańskich kinach grały fortepiany

Ustosunkowując się do drugiego tematu, jaki ukazał się na wymienionym portalu, to z uwagi na fakt mojej pracy w kinach „Morskie Oko” i „Lido” muszę powiedzieć, że żadne z gdyńskich kin nie posiadało w tamtym czasie fortepianu. Jedyne tylko w kinach (tak jak w kinie „Czarodziejka”), w okresie przed udźwiękowieniem filmów były w użyciu pianina, usytuowane zawsze pod ekranem, na których zatrudnieni muzycy wykonywali dowolne utwory, by w jakiś sposób wypełnić ciszę wiejącą z ekranu.

Twierdzenie zaś, że przedwojenna Gdynia mogła pochwalić się kinami najwyższej klasy jest wielką przesadą, bowiem w okresie kina niemego i początków wyświetlania filmów dźwiękowych panowała w tej dziedzinie chałturowa improwizacja. Jedyne kino „Morskie Oko” spełniało w pewnym sensie warunki, by zaliczyć je do dość wysokiej klasy, chociaż sala tego kina miała jeden poważny mankament. Była w kształcie kwadratu, co przy podobnym kształcie ekranu, widzowie siedzący na skrajnie bocznych miejscach i bliżej ekranu, mieli całkowity dyskomfort w odbiorze filmu.

Przełomem w gdyńskiej kinematografii był rok 1936. Na ul. 3 Maja słynny malarz – marynista, Marian Mokwa wybudował dość okazały, dwukondygnacyjny obiekt z długą przyległą salą widowiskową w kształcie prostokąta. Powierzchnia tego obiektu wynosiła ok. 1300 m² i była przeznaczona na wernisaże monumentalnych, marynistycznych obrazów, sławiących Polskę morską i polskość Pomorza.

Otwarcia tej galerii, w dniu 29 czerwca 34 roku, tj. w Święto Morza dokonał ówczesny wojewoda pomorski Kirtiklis, w asyście Komisarza Rządu Franciszka Sokoła, a uroczyste poświęcenie celebrował biskup chełmiński Stanisław Okoniewski.

Niestety, całkowity brak zainteresowania ówczesnej społeczności galerią, zmusił Mariana Mokwę do wydzierżawienia całego obiektu ówczesnemu właścicielowi kina „Morskie Oko”, Stefanowi Szmidtowi, który po kilkumiesięcznej adaptacji otworzył w nim, we wrześniu 1936 roku, jedno z najlepszych w Polsce kin pod nazwą „Lido”.

I tu muszę sprostować twierdzenie, że w ówczesnych kinach w Gdyni „można było skosztować lodów, rozkoszując się wonią ekskluzywnych perfum, rozpylanych przez najęty do tego personel”. Po pierwsze, był zakaz nie tylko sprzedaży, ale i wchodzenia do kina z lodami w rękę. Po drugie, rzekome rozkoszowanie się rozpylanymi i ekskluzywnymi perfumami to już wielka przesada i tworzenie legendy. Latem, przy pełnych salach panował uciążliwy zaduch i dlatego personel kina, a nie wynajęty personel, rozpylał w trakcie wyświetlania filmu, specjalnymi ręcznymi rozpylaczami, wodę leśną o zapachu drzew iglastych. Nie były więc to żadne perfumy tylko swego rodzaju odświeżenie powietrza, aby widzowie dotrwali do końca seansu..

Powracając jeszcze do działalności kina „Lido” to pamiętam, że w umowie dzierżawnej budynku były dwa punkty zastrzeżonych uprawnień dla Mariana Mokwy, jako właściciela budynku, a mianowicie: na sali kinowej, po obydwu jej dłuższych bokach będą stale eksponowane 44 monumentalne obrazy związane z tematyką morską. Jedna z sal na pierwszym piętrze o pow. około 50 m² będzie należała wyłącznie do właściciela budynku, jako sala wystawowa dla małych obrazów tj. akwareli, szkiców i rysunków.

Ta niezwykła symbioza kinematografii i unikatowych, marynistycznych dzieł Mariana Mokwy, była szczególnie i niezwykle pozytywnym wydarzeniem kulturalnym w przedwojennej Gdyni. Niestety, te wszystkie dzieła zostały przez Niemców, we wrześniu 1939 roku spalone na stosie ułożonym przed frontem kina „Lido”.

Zanim nastąpiła wojna, codziennie po rozpoczęciu ostatniego seansu do kin wkraczali poborcy podatkowi, pobierając z sumy sprzedanych w tym dniu biletów 35% uzyskanej wartości, na poczet podatku dochodowego. Jeśli dane kino wyświetliło w poprzednim okresie rozliczeniowym 10% filmów polskiej produkcji, to też w takiej wysokości była ulga podatkowa. Oznaczało to, że podatek wynosił 25% uzyskanego przychodu.

Obliczenie podatku było bardzo proste, bowiem bilety sprzedawane w odnośnych kinach posiadały bieżące numery z pieczętką Komisariatu Rządu, a ich wydawanie (rolki po 500 lub 1000 biletów) były ściśle ewidencjonowane przez Wydział Finansowy. Do kin „Morskie Oko” i „Lido” przychodził każdego dnia, po godz. 21.00 jako poborca podatkowy, sam kierownik tegoż Wydziału p. Michalski, zamordowany jesienią 1939 roku przez hitlerowców w Piaśnicy.

Problem otrzymania ulgi podatkowej nie miało nigdy kino „Polonia”, ponieważ jego właściciele byli nastawieni prawie wyłącznie na wyświetlanie filmów polskiej

produkcji. W tym kinie został ustanowiony jesienią 1937 roku swoisty rekord długości utrzymywania się na ekranie, przy ciągle pełnej widowni i ponad trzy miesiące filmu „Znachor”. W rok później, premiera drugiej części „Znachora” – „Profesor Wilczur” utrzymywała się na ekranie zaledwie przez niespełna trzy tygodnie. Swoją rekord, ale trochę mniejszy, miało także jesienią 1937 r. kino „Lido” poprzez wyświetlanie kolorowego filmu animowanego „Królewna Śnieżka i siedmiu krasnoludków” Walta Disneya, w polskiej wersji językowej. Film ten, utrzymywał się na ekranie przez ponad dwa miesiące i zawsze miał pełną widownię.

W 1937 r. Brunon Zieliński po likwidacji kina „Czarodziejka” wybudował kilkadziesiąt metrów przed Polską Riwierą (obecnie parking przed muzeum) i około 150 m z drugiej strony od kina „Morskie Oko” pawilon, w którym w sezonie letnim działała restauracja – kawiarnia, zamieniana w okresie jesienno – zimowym na kino „Bodega”.

W listopadzie 1938 roku około godz. 19.00 „Bodega” stanęła w ogniu. Podobno nastąpił samozapłon taśmy filmowej podczas projekcji filmu. Nie było ofiar ani wśród personelu, ani wśród widzów, których było podobno zaledwie kilkunastu. Za to pożar był wyjątkowo niezwykły, bowiem nie było widać płomieni tylko tumany wysoko unoszących się iskier. Jak się później okazało to przyczyny pożaru były następujące: Wybudowany pawilon – wprawdzie bardzo okazały i potocznie nazywany „szklanym pałacikiem” był bardzo lekkiej konstrukcji, nadającej się raczej wyłącznie do sezonu letniego. Właściciel pawilonu, przygotowując go do działalności kina w okresie jesienno – zimowym, wpadł na pomysł jego ocieplenia poprzez obłożenie olbrzymich szklanych okiennych witryn kilkunastocentymetrową warstwą trocin, których kilkanaście ton sprowadził z okolicznych tartaków. Taka warstwa ubitych trocin pomiędzy przyłożonymi od zewnątrz dużymi płatami dykty a okiennymi taflami szyb miała chronić salę kina przed mrozem. Paliły się więc te trociny bez płomieni, zaś iskry roznosił wiatr. Cały pawilon kina wraz z wyposażeniem spłonął doszczętnie.

Już na początku 1938 roku miasto obiegała wiadomość o projekcie powstania przy ul. Świętojańskiej, największego i przez to najbardziej konkurencyjnego kina w Gdyni. Właściciele kin „Morskie Oko”, „Lido” i „Polonia”, a także ich personel byli pełni obaw o swoją dalszą egzystencję. Całość projektu i wszelkich przygotowań do jego otwarcia były trzymane w wielkiej tajemnicy. Wiadomo było tylko, że miało być bardzo duże na około 1000 miejsc, a także bardzo nowoczesne i niezwykle ekskluzywne kino.

Prace adaptacyjne, które trwały kilka miesięcy, zostały zakończone we wrześniu 1938 roku. Powołana na początku października komisja złożona z ekspertów – rzeczoznawców z dziedziny budownictwa, kinematografii i straży pożarnej, po dokładnym przeprowadzeniu wszelkich technicznych badań i próbnym seansie nie

dopuszczała nowego kina do eksploatacji. Usuwanie stwierdzonych usterek trwało długo i zbiegło się z moim odejściem do służby wojskowej.

Na zakończenie muszę jeszcze dodać, że w drugiej połowie lat trzydziestych Gdynia była już typowo miastem portowym, w którym kwitło życie nie tylko we wspomnianych kinach, ale także w licznych lokalach i barach, usytuowanych w centrum miasta i w ulicach położonych najbliżej basenów portowych. Z nocnych lokali pozostały w mojej pamięci takie jak: „Mascotte” (najbardziej ekskluzywny) przy ul. Żwirki i Wigury, „Alhambra” (także ekskluzywna) przy ul. 10 Lutego, „Europa” przy rogu ul. 10 Lutego i ul. Abrahama (powojenny Inter Klub), „Oaza”, „Polonia” i „Fenix” przy ul. Świętojańskiej, „Cafe Club” przy Placu Kaszubskim i „As” przy ul. Portowej, „Dwór Kaszubski” potocznie zwany „Grzegorzem” przy ul. Starowiejskiej, „George” przy ul. Zgoda róg 3 Maja i „Bagatela” przy ul. Śląskiej.

W lokalach tych grały orkiestry (przeważnie kwartety), w których nie było instrumentów perkusyjnych. Ponadto w każdym z tych lokali urządzano, przeważnie o północy, występy grup baletowych. Zatrudniane były także fordanserki do zabawiania, co bardziej zasobnych gości.

Były też bardzo liczne rozrywkowe bary, w których dominowali akordeoniści. W barach tych trwało dalsze nocne życie z udziałem licznych panienek i nierzadko zagranicznego towarzystwa. Główną lokalizacją barów były następujące ulice: Portowa, Św. Piotra, Żeromskiego, Plac Kaszubski, Starowiejska, Abrahama, Świętojańska i 10 Lutego.

Nieśmiało muszę więc stwierdzić, że współczesna Gdynia jako miasto portowe, diametralnie różni się, i to pod każdym względem, od tej Gdyni z lat trzydziestych ub. wieku. I nie jest to stwierdzenie płynące jedynie z mojej tęsknoty za latami młodości, ale obiektywna prawda, wyrażana w niektórych dyskusjach, jak choćby w tej, iż obecnie np. na ul. Świętojańskiej życie zamiera po zachodzie słońca.